

BRIGID KEMMERER

Aby ocalić królestwo, muszą podążać...

KU
ZNISZCZENIU
DNIA

Na przekór nocy #3



Tytuł oryginału

Destroy the Day

Copyright © 2024 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Anna Łakuta

Justyna Kowalska

Dominika Kalisz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN:978-83-8362-440-2

BRIGID KEMMERER

KU
ZNISZCZENIU
DNIA

Na przekór nocy #3

Tłumaczenie
Anna Kuksinowicz

Dla Jonathana i Kary

Liderzy polityczni Kandali		
Godność	Rola	Sektor
Król Harristan	Król	Królewski
Książę Corrick	Najwyższy Sędzia Królewski	Królewski
Barnard Montague (zmarły)	Konsul	Nabrzeże Kupców*
Allisander Sallister	Konsul	Księżycowe Równiny
Leander Craft (zmarły)	Konsul	Stalowe Miasto
Jonas Beeching	Konsul	Artis
Lissa Marpetta	Konsul	Emberridge
Roydan Pelham	Konsul	Kraina Smutku
Arella Cherry	Konsul	Sunkeep
Jasper Gold	Konsul	Mosswell

*Zwane także Nabrzeżem Zdrajców po tym, jak poprzedni król i królowa zostali zamordowani przez Konsula Montague, pozostawiając władzę w ręku Harristana i jego młodszego brata Corricka.

Wyjęci spod prawa:	
Nazwisko	Rola
Tessa	zielarka*
Karri	zielarka
Lochlan	pracownik kuźni

* Obecnie pracująca dla króla

Poszukiwani za zdradę stanu:	
Nazwisko	Rola
Król Harristan	Król
Quint Rifield	Marszałek Dworu
Adam Saeth	Straż
Benjamin Thorin	Straż

Lek

W Kandali jedynym lekiem na chorobę zwaną „gorączką” jest eliksir stworzony z suszonych płatków Księżycowego Kwiatu, który rośnie wyłącznie w dwóch sektorach: na Księżycowych Równinach i Emberridge. Król Harristan i Książę Corrick sprawują ścisłą kontrolę nad dostawami leku, żeby zapewnić sprawiedliwy rynek i uczciwą dystrybucję oraz by zapobiec przemytowi i kradzieży.

Rozdział pierwszy

Corrick

Przestałem liczyć dni.

Powinienem był tego pilnować. Więźniowie w Twierdzy wydrapywali kreski na ścianach, choć rzadko kiedy udawało im się zostawić ich więcej niż pięć.

Odnoszę wrażenie, że minęło więcej dni.

Znacznie więcej.

Pierwsze promienie słońca przebijają się przez drzewa widoczne za kratami naszej celi. Chociaż tak naprawdę nie jest to *cela*, a raczej jaskinia usytuowana głęboko w lasach nieznannej mi wyspy. Musimy znajdować się spory kawałek od miejsca, w którym mieszkają piraci, ponieważ słyszymy ich tylko wtedy, kiedy do nas przychodzą, a poza tym nie dobiegają nas inne dźwięki: żadnych rozmów, żadnych odgłosów życia. Jaskinia biegnie w głąb ziemi, dalej, niż dochodzi światło i słysząc szum wody, ale ściany zwężają się tak bardzo, że nie moglibyśmy się przecisnąć, więc tamtędy nie wyjdziemy. Z drugiej strony ograniczają nas kraty, przymocowane do skał i złączone z nimi zaprawą. Lochlan i ja w pierwszych dniach sprawdziliśmy każdy pręt, każdy spaw, każdy zawias. Lecz pomimo nadmorskiego powietrza oraz ulew, przez które wycofujemy się i schodzimy niżej, by się przed nimi schować, kraty i zaprawa ani drgną.

Dobrze skonstruowane więzienie.

Kiedy pozostawałem zamknięty w Twierdzy w Kandali, odnosiłem wrażenie, jakbym dostał to, co mi się należało.

I teraz nie powinienem czuć tego samego, ale tak jest.

Słysząc szelest leżących na ziemi liści gdzieś wśród drzew, lecz nie siadam. Zaraz dostaniemy śniadanie.

Przestało mnie to obchodzić. Przekręcam się na drugi bok, twarzą do ściany, pogrążając się bardziej w ciemności.

Chrzęst kroków ustaje i po tym słysząc dźwięk metalu ocierającego o kamień.

– Jedzenie, chłopcy – woła kobieta.

To Lina, od Orena Crane'a. Gwizdże kilka razy, jakbyśmy byli psami w klatce.

– Chodźcie zjeść.

Ignoruję ją. Każdego z nich ignoruję.

Lochlan też nic nie mówi. Zastanawiam się, czy śpi.

Mam to gdzieś.

– Oren wkrótce wróci – mówi. – Lepiej się przygotujcie. Ma dla ciebie pewien plan, Wes. A jeśli chcesz, żeby ta śliczna główka pozostała przymocowana do szyi, to zrobisz, co ci każe.

Wes. To imię chwyta za moją duszę, przypomina o nocach spędzonych w Dzicy z Tessą. O jej lekkim uśmiechu, jej zwinnych palcach, jej łagodnym sposobie bycia. Jej inteligencji. Jej *odwadze*. Zakochałem się w niej jeszcze przed zmierzchem.

Czuję ukłucie w sercu. Muszę odegnać te myśli.

Nie mogę pozostać tu Westonem Larkiem. Wes był ciepły i miły, i rzadko kiedy miał komuś do powiedzenia coś złego.

Gdyby Weston Lark był prawdziwy, to pewnie już leżałby martwy.

Chociaż on *naprawdę* już nie żył. Myślałem, że Tessa nigdy mi tego nie zapomni.

A teraz z całą pewnością myśli, że umarłem po raz drugi. A może po raz trzeci? Straciłem rachubę.

Równie dobrze mógłbym być martwy. Zamykam oczy.

Po pewnym czasie Lina się poddaje, znudzona naszym milczeniem. Znow słysząc chrzęst kroków, a później szelest ściółki i zostajemy sami.

Woń jedzenia dociera do mnie całkiem szybko. Jakieś mięso i coś, co zapachem przypomina świeżo upieczony chleb. Karmią nas tylko dwa razy dziennie, więc powinienem umierać z głodu, ale tak nie jest. Już od kilku dni nie przejmuję się jedzeniem. Ptaki śpiewają gdzieś w drzewach po drugiej stronie krat, budząc się w blasku słońca, lecz ja chowam się pod nędznym kocem, opatulając mocniej kurtkę.

Nie swoją kurtkę. Kurtkę Harristana.

Nigdy więcej nie zobaczę swojego brata.

Staram się odepchnąć także tę myśl, ale jest na to za późno. Czuję ucisk w gardle i pieką mnie oczy. Wstrzymuję oddech, żeby nie wydobył się ze mnie żaden dźwięk.

Może zdołam wstrzymywać go na tyle długo, by się udusić i umrzeć.

– Hej – rozlega się głos Lochlana, lecz jego też ignoruję. – Musisz jeść – woła.

Łza spływa mi po policzku, rzeźbiąc w nim mokrą ścieżkę.

Przygryzam bok języka, by ból odegnał emocje, a kiedy to się udaje, chowam głowę pod kocem i ocieram wilgoć.

Ostatnio, gdy płakałem, także znajdowałem się w celi. Klęczałem, twarzą do swojego brata.

– Wczoraj niczego nie zjadłeś – mówi Lochlan. – Wes... musisz jeść.

Wes. Nie podoba mi się to, że mnie tak nazywa. Zaczął, kiedy wyrzuciło nas na brzeg, żeby piraci nie wiedzieli, kim jestem, ale to imię tak bardzo kojarzy mi się ze wszystkim, co straciłem.

Muszę znów schować twarz pod kocem.

– Hej. – Tym razem słyszę jego głos bliżej, tuż za sobą. – Wstań.

Nie chcę wstawać. Gardło nadal mam ściśnięte, oczy wciąż mnie pieką i chcę, żeby sobie poszedł.

Lochlan dźga mnie palcem w ramię.

– Wstawaj. Zjedz coś.

Zgrzytam zębami.

– Zostaw mnie.

– Nie. – Znowu mnie dźga. – Przestań się nad sobą użalać.

– Nie użalam się nad sobą.

W rzeczy samej, robię to.

Tym razem ciągnie mnie za ramię.

– Przestań zachowywać się jak dziecko – mówi. – Wstawaj, Wes.

– Przestań mnie tak nazywać.

– No dobra – ścisza głos; odgłosy brzmią tak, jakby kuczał tuż za mną i nachylał się do mnie. – Wstawaj, Corricku.

Moje prawdziwe imię brzmi jak obelga.

– Odejdź.

– Nie. – Uderza mnie otwartą dłonią w tył głowy, i to mocno.

To okazuje się tak zaskakujące, że obracam się i odrzucam koc. Robię wdech, żeby go zbesztać, ale on był na to gotowy. Stuka mnie w ucho, jakbym był dzieckiem, na co zginam się wpool.

– Właśnie tak – kpi ze mnie. – Rusz się, Cory.

Mam już dość. Z pomrukiem rzucam się na niego i uderzam z wystarczającym impetem, żeby przewrócić go na ziemię. Wymierzam kilka ciosów, lecz jemu udaje się uniknąć większości z nich i zaczynamy tarzać się po podłożu, chwytając się siebie nawzajem, by zdobyć przewagę, i warcząc ze złości.

Ale on ma rację – nie jadłem, więc udaje mu się przygwoździć mnie do ziemi z większą łatwością, niż bym tego chciał. Siada okrakiem na moich udach i kładzie mi palce na szyi, odcinając dopływ tlenu, a jedną rękę przygniata do ziemi, przez co nie mogę się zamachnąć.

Chociaż mam przyjemność widzieć krew na jego wardze. Próbuje mu się wyrwać, zastanawiając się, czy złamie mi kręgosłup.

Lochlan patrzy na mnie morderczym wzrokiem, dysząc ciężko.

– Mój panie, walczysz jak szaleniec. Jesteś już gotowy coś zjeść?

– Złaż ze mnie – cedzę przez zaciśnięte zęby. Krew w moich ustach smakuje gorzko.

– Śniadanie?

– Idź do diabła, Lochlan.

On nachyla się nade mną. Czarne włosy wpadają mu do oczu, przydługie i brudne po wielu dniach spędzonych w tej celi. Sam z pewnością nie wyglądam lepiej od niego.

– Więc tyle wystarczy, by złamać Najwyższego Sędziego Królewskiego? – rozmyśla na głos. – Kilka dni w klatce?

Pluję w niego krwią.

– Żryj gównu.

– Cóż, księciu nie przystoi używać takiego słownictwa. – Sięga po coś, a ja próbuję wykorzystać tę chwilę nieuwagi, by mu się wyrwać, ale on jest za szybki. Łapie mnie za włosy i przekręca dłoń.

To jest tak gwałtowne i niespodziewanie bolesne, że wyję z bólu. Chwytam go za nadgarstek, lecz on mocno ściska w palcach moje włosy, więc krzywdzę w ten sposób siebie.

– Co, do cholery, jest z tobą nie...

– Masz. – Przytrzymuje suchar przed moją twarzą. – Gdy go zjesz, to cię wypuszczę.

Patrzę na niego, jakby oszalał.

On znów ciągnie mnie za włosy.

– Jedz, ty idioto!

– Dobra! – Wgryzam się w suchar i odgryzam kawałek.

Lochlan patrzy na mnie, jak gdyby czekał, aż zacznę żuć, więc to robię, przez cały czas mordując go wzrokiem. To nie jest *najbardziej* upokarzająca rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem, ale z pewnością plasuje się w pierwszej piątce.

– Dobrze – mówi. Wreszcie puszcza moje włosy i schodzi ze mnie.

Od razu rzucam się na niego.

Tym razem udaje mi się zadrapać go w bok twarzy i podbić mu oko, co zapewne stanie się widoczne dopiero wieczorem. Niestety ja także będę miał tam siniaka. Na koniec szarpaniny

leżę twarzą w dół, wdychając piach, a on przytrzymuje kolano na moich plecach i znów ciągnie mnie za włosy.

Podnosi suchar z ziemi, dmucha na niego i przytrzymuje go przed moją twarzą.

– Gotowy zjeść więcej?

Robię wdech, żeby powiedzieć mu coś, co jeszcze mniej przystoi księciu, ale mój brzuch zachowuje się tak, jakby ten pierwszy kęs jedzenia obudził go do życia. Teraz naprawdę jestem głodny.

– Daj mi wstać – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Zjem.

Spodziewam się, że i tak będzie wmuszał we mnie jedzenie siłą, lecz ku mojemu zaskoczeniu on mnie puszcza. Ostrożnie siadam po turecku na ziemi, po czym wrywam mu z dłoni pieczywo. Odgryzam kolejny kawałek i przeżuвам go, i nagle muszę się powstrzymywać, żeby nie wepchnąć sobie całości do ust.

– Wolniej – mamrocze Lochlan. – Żaden z nas na tym nie zyska, jeśli to wszystko zwymiotujesz.

– Zamknij się. – Nie patrzę na niego. Odgarniając włosy z twarzy, staram się ignorować ból skóry głowy spowodowany tym, jak za nie ciągnął.

Ale zmuszam się do odgryzania mniejszych kawałków, ponieważ ma rację.

Słońce weszło jeszcze wyżej, promienieje jasnym światłem zza drzew, a mnie boli od tego głowa. Chcę znów zwinąć się w kłębek i położyć w kącie.

Lochlan klęka, na co się spinam, spodziewając kolejnego ataku, lecz on po prostu wyciąga w moją stronę mały stalowy kubek z wodą.

– Musisz też pić – poucza.

Nie biorę od niego wody.

– A co ci zależy?

– Jeśli będę musiał przywoździć cię do ziemi i wlać ci wodę do gardła na siłę, to wyleję połowę.

Gromię go wzrokiem, ale on wygląda, jakby mówił to poważnie, więc biorę od niego kubek, a następnie upijam łyk.

A po tym kolejny, większy, ponieważ co do wody też się nie mylił. Po odstawieniu naczynia odnajduję resztę jedzenia przyniesionego przez Linę.

Są tu gotowane jajka, pieczone udka kurczaka oraz solone ziemniaki, pieczone tak długo, że skórka stała się chrupiąca, ale środek pozostał miękki. Jest to zaskakująco dobre więzienne jedzenie, chociaż pewnie tyle po prostu zostaje z tego, co ludzie Orena Crane'a przygotowują dla siebie. Nie udało mi się dokładnie im przyjrzeć w ciemności tej pierwszej nocy, lecz na plaży było ich tylko dziesięcioro, więc pewnie przygotowanie dla nas gorszego jedzenia zabrałoby im więcej czasu.

Lochlan siedzi naprzeciwko mnie, jedząc swoją porcję.

– A ty zamierzałeś to odrzucić – stwierdza, nieco strofująco.

Nie odrywam wzroku od posiłku, więc wciąż na niego nie spojrzałem. Moja duma ucierpiała, gdy przygwoździł mnie do ziemi i wepchnął mi do ust suchara.

– Gdybyś zostawił mnie w spokoju, to mógłbyś zjeść za dwóch.

– Nie zamierzam patrzeć, jak się zabijasz.

Na te słowa podnoszę wzrok, lecz on na mnie nie patrzy. Ma cienie pod oczami, a jego piegowata skóra jest ciemniejsza po dniach spędzonych na „Ścigaczu Świtu”. Rękawy koszuli podciągnął, odsłaniając tuzin blizn po oparzeniach na przedramionach, zapewne po pracy w kuźniach Stalowego Miasta. Kilka tygodni temu złamałem mu lewy nadgarstek, ale już dawno temu zgubił bandaż, który nosił na statku. Z pewnością jeszcze się do końca nie wyleczył, lecz tutaj nie możemy liczyć na pomoc medyczną.

A poza tym bez problemu przygwoździł mnie do ziemi.

Marszczę brwi i przenoszę wzrok z powrotem na jedzenie.

– Kiedy desperacko potrzebowaliśmy leków – zaczyna cicho Lochlan – wbito nam do głów pewne zasady. W razie... w razie, gdybyśmy zostali złapani.

Jego głos pobrzmiwa jakąś dziwną emocją, więc znów na niego spoglądam.

Zębami odrywa kawałek mięsa od kości. Nadal nawet na mnie nie zerknął.

– Najważniejsze było to, żeby nie przestawać jeść. Jeśli ktoś kładzie przed tobą jedzenie, to je zjadasz. Bo osłabiając się, tylko pomagasz tym, którzy cię przetrzymują. – Milknie z powagą. – Jeśli oddychasz, to znaczy, że nadal żyjesz. A jeśli nadal żyjesz, to znaczy, że wciąż jest nadzieja. Więc jej sobie nie odbieraj.

Wbijam w niego wzrok, a on wzrusza lekko ramionami.

– Powinienem być już wczoraj zmusić cię do jedzenia. Zapomniałem, że rozpieszczonych książąt z pałacu nikt nie uczy takich rzeczy.

Powinienem się wściec, ale tak nie jest. On ma rację. Nikt mnie tego nie nauczył.

Uczono mnie innych rzeczy.

Patrzę na niego zmrużonymi oczami.

– To zabawne, że robisz mi wykład o tym, by nie tracić nadziei, Lochlanie.

Odrywa kolejny kęs kurczaka.

– Cóż, udało mi się wydostać z Twierdzy – stwierdza powoli. – A później zdołałem zwiać z waszej sceny, i zrobiłem to z kapturem na głowie i kuszą wycelowaną prosto w plecy. – Wzrusza ramionami. – Wydostałem się z Kręgu, kiedy myślałem, że twój brat rozkaże armii nas zabić. A później udało mi się nie zginąć na tym głupim statku. – Podnosi wzrok i w jego oczach widzę błysk pewnej zawziętości. – Nadal oddycham.

Wzdycham i też odgryzam kawałek kurczaka. I tu mnie ma.

Nadal oddycham.

Zapada między nami cisza, nie jestem tym zachwycony. Teraz czuję się wstrząśnięty, podjudzony. Nie wiem, czy to z powodu jedzenia, czy bójki, ale rozbudziłem się, a nie mam dokąd pójść.

– A jak brzmiały pozostałe zasady?

– Zawsze miej w zapasie fałszywe imiona, w razie gdybyś był przesłuchiwany. A jeśli uciekasz przed nocnym patrolem, złap za taczkę i idź z nią spokojnie. Nikt nie zatrzymuje człowieka z taczką. – Waha się przez chwilę, nie przestając patrzeć mi w oczy. – A jeśli zbliżysz się do księcia, zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby go skrzywdzić.

Dopijam wodę i nalewam więcej z bukłaku.

– Chcesz znowu pociągnąć mnie za włosy? – pytam od niechcienia.

– Trochę.

– Co ty? Masz sześć lat? – pytam surowym tonem. – Kto się w ten sposób bije?

– Ale zadziało, czyż nie?

Marszczę brwi. On posyła mi mroczny uśmiech i odgryza kolejny kawałek kurczaka.

Mój umysł staje się jaśniejszy. Jedzenie naprawdę pomaga. Mam mniejszą ochotę płakać, a większą ochotę coś zrobić. Niestety nadal tkwimy zamknięci w celi.

Nie mam pojęcia, jak nas stąd wyciągnąć. Harristan dowie się o naszym zaginięciu dopiero za kilka tygodni. Rian, dawny kapitan Blakemore, a obecny król Ostriarii, prawdopodobnie uznał nas za martwych – chociaż pewnie w ogóle nie obchodzi go to, co się z nami stało. Nie wiem, co Oren Crane ze mną zrobi, ale to nie on ma tu władzę. Nawet jeśli powiem mu, kim tak naprawdę jestem, to raczej mi nie zaufa. I gdybym zaproponował mu naszą stal, on raczej nie zyskałby dzięki temu przewagi. A przynajmniej jeszcze nie.

Choć, z drugiej strony, piraci darowali nam życie, więc muszą mieć jakąś korzyść z tego, że nas tu trzymają.

Oren wkrótce wróci. Ma dla ciebie pewien plan, Wes.

Nie wiem, jak mógłby wyglądać ten plan. Pierwszej nocy próbowałem walczyć z Orenem Crane'em. Próbowałem go zabić. Próbowałem uciec.

A on zaśmiał mi się w twarz. A później nas tu zamknął.

Znów patrzę na Lochlana. Nie mógłbym zostać tu uwięziony z gorszym człowiekiem. Istnieje setka innych osób, które bardziej by mi odpowiadały od tego mężczyzny, ponieważ on każdą godzinę swojego życia poświęca pielęgnowaniu nienawiści do mnie.

Chociaż, z drugiej strony, uwolnił mnie, przecinając liny na statku po tym, jak Rian przywiązał mnie do masztu. I okazał się na tyle sprytny, żeby nadać mi fałszywe imię przed Orenem Crane'em. Może i jestem w celi, ale przynajmniej piraci mają mnie za służę. Jestem dla nich potencjalnym źródłem informacji, i nic poza tym.

A książę Kandali mógłby stać się kartą przetargową. Z pewnością mogliby wywierać w ten sposób nacisk na Harristana... choć prawdopodobnie także na Riana, zważywszy na to, czego potrzebuje. Więzień polityczny. Niezależnie od tego, co piraci zrobią Westonowi Larkowi, nie będzie to nawet w połowie tak złe jak to, co zrobiliby z księciem Corrickiem – i mogę podziękować za to Lochlanowi.

Odrywam ostatni kawałek mięsa od kości.

A do tego Lochlan zmusił mnie do jedzenia.

Nie zamierzam patrzeć, jak się zabijasz.

Nie, tu chodzi o coś więcej. Przyglądam się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie, próbując zrozumieć jego punkt widzenia.

Zerka na mnie zza pasma włosów, które opadło mu na twarz.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – pyta.

– Próbuję zrozumieć, czemu obchodzi cię to, czy będę żył, czy umrę.

On wzrusza ramionami i nic nie mówi.

– Byłem przywiązany do masztu na statku. Gdybyś mnie wtedy zabił, znikłyby wszystkie twoje problemy – mamrocę.

Zamaszystym gestem rąk wskazuje swoje otoczenie.

– Naprawdę? Tak ci się wydaje?

Cóż, nie. Nie do końca. Wzdycham i znów skupiam się na jeździe. Ale nagle zamieram. Lochlan niegdyś rozgryzł to, że książkę Corrick i Weston Lark to ta sama osoba, i był na tyle bystry, by znaleźć mój warsztat w Dzikcy. Uwięził mnie i Tesę, a później poprowadził motłoch, by mnie zaatakowali. I chociaż szczerze go nienawidzę, to okazał się też na tyle sprytny, żeby przedostać wyjętych spod prawa do Sektora Królewskiego i uwięzić konsulów. To wymagało strategii i planowania.

A do tego ujął się za mną na statku, kiedy martwiłem się, że wszystko wyjdzie na jaw przed Rianem. Sprawy mogły potoczyć się bardzo złym torem, a on znalazł sposób na rozładowanie napięcia.

Pamiętam, jak siedziałem przy stole w pałacu podczas jednego z niewielu spotkań wyjętych spod prawa z konsulami, będących wynikiem prób rewolucji. Konsul Sallister mówił z pogardą, a Lochlan siedział i gotował się ze złości. Na statku to on wytknął mi to, że choć Sallister popełnił znacznie gorsze przestępstwa od niego, to nigdy nie został ukarany... ponieważ konsul miał pieniądze i władzę. Chodziło o coś więcej, ale po uproszczeniu sprawy tkwiła w tym pewna prawda.

Wszyscy siedzący przy stole traktowali Lochlana jak niedouczonego głupca. Był agresywny i rozeźlony, chociaż teraz, z perspektywy czasu, nie winię go za to.

Jednakże nie był głupcem. To my okazaliśmy się głupi, gdyż zlekceważyliśmy jego możliwości.

On raczej nie chce mieć we mnie sojusznika, lecz może nie widzi innej opcji.

– Musimy wrócić do Kandali – stwierdzam cicho. – Ale jeśli wydostaniemy się z tej klatki, najpierw odnajdę Tesę. Nie wrócę tam bez niej.

– Ja też nie. Karri nigdy by mi tego nie wybaczyła, gdybym ją tu zostawił.

Och. On ciągle mnie zaskakuje.

– Rocco też – dodaje. *Jeśli przeżył*. Jednakże nie mówię tego na głos. Mam nadzieję, że żyje. Mam nadzieję, że Tessa nie jest sama.

Lochlan mi się przygląda.

– Jego rana wyglądała poważnie.

Marszczę brwi na wspomnienie rany kłutej w boku mojego strażnika.

– Jeśli umrą... – Milknę i czuję ucisk w brzuchu. To wszystko przez Riana. Myślę o jego kłamstwach, o tym, jak surowo ocenił mnie za moje zbrodnie, a ignorował swoje. O tym, jak stojąc na swoim statku, twierdził, że ludzie w Kandali wcale nie chorowali na gorączkę, tylko jakimś cudem byli truci. Wściekłość rozpała nagle moje trzewia. – Zabiję Riana.

– Dobrze. Pomogę ci. Ale najpierw spróbuj wymyślić sposób na wydostanie nas stąd. – Lochlan zerka na kraty. – Lina powiedziała, że Oren wkrótce wróci, więc nie wiemy, ile czasu nam zostało.

– Jeśli Oren wróci – podejmuję – to może być nasza jedyna szansa na to, żeby wydostać się z tej klatki. Musimy obmyślić jakiś plan.

– Cóż, nie mamy broni, a oni mają wyraźną przewagę liczebną. Co jeszcze przychodzi ci na myśl, Westonie Larku?

Czuję ucisk w klatce piersiowej. Mamy zbyt wiele do stracenia i przez chwilę czuję się, jakby panika miała mnie przytłoczyć. Ale wtedy myślę o Harristanie i Kandali, o wszystkim, co poszło nie tak. O każdej obietnicy, jaką złożyłem Tessie. O tym, że chciałem się bardziej starać. Być lepszym. O wszystkich ludziach i miejscach, których mógłbym już nigdy więcej nie zobaczyć. O wszystkich, których zawiodłem... w tym o mężczyźnie znajdującym się przede mną.

Musiałem odegrać tysiące ról, by pomóc swojemu bratu utrzymać jedność Kandali. I mogę odegrać kolejną.

Robię wdech. *Wciąż oddycham*.

– Jego córka Bella płynęła na tym statku – zauważam. – Więc znienawidzi Riana tak bardzo jak my. Będziemy musieli znaleźć coś, co moglibyśmy mu zaoferować. Coś, dzięki czemu zyskamy odrobinę wolności.

W oczach Lochlana pojawia się błysk zaskoczenia i wtedy uśmiecha się odrobinę niebezpiecznie, z cieniem smutku.

– Czekałem, aż się obudzisz.

Nie odwzajemniam jego uśmiechu.

– Może powinienś był mnie pobić kilka dni temu?

– Miło, że wróciłeś, wasza wysokość.